Queer vadis?

Nieformalna dyskusja redaktorów numeru wokół wstępu

Tomasz Basiuk : [...] Rozumiem, że próbujemy wypracować jakiś tekst, pod którym wszyscy zechcą się podpisać, i między innymi dlatego napisałem krytykę Munoza (i nie tylko) [...] [N]ie chciałbym się podpisywać pod gestami zrównującymi teorię queer z lewicowością. Uważam to za błąd. Być może ten ruch ma pewien sens w kontekście amerykańskim jako głos sprzeciwu z marginesu znacznie silniejszego ruchu LGBT, ale powtarzanie go w innych kontekstach wydaje mi się nieuzasadnione, o czym wspominam we wstępie do bieżącego numeru.

A w czysto socjologicznym sensie queer w USA po prostu urosło i próbuje się wydostać z getta seksualności na szersze wody, bo inaczej nie będzie dla niego miejsca w akademii. Ale moim zdaniem w tym jest tyleż radykalizmu, co oportunizmu. To, co piszą Munoz i Duggan, jest w dużej mierze podyktowane pewną polityczną strategią i wydaje mi się, że to w końcu powoduje zubożenie queer, ponieważ zatracona zostanie unikalna perspektywa skierowana wprost na seksualność, i że inne (także lewicowe) metodologie nie będą w stanie tej perspektywy zaproponować.

Tomasz Sikora : Właśnie dlatego, że szukamy tekstu, pod którym wszyscy się podpiszemy, zamiast pisać, że zbliżenie kłiru i lewicowości to błąd (to mogłaby być teza autorskiego artykułu) lepiej napisać po prostu, że taki proces - pośród innych procesów - ma w kłirze miejsce. Ja się temu zbliżeniu kompletnie nie dziwię, jeśli np. konserwatyści angielscy popierają homomałżeństwa w imię swoich konserwatywnych zasad, a w pakiecie sprzedają także politykę antyimigracyjną i neoliberalną. Czy kłir, ze swoją antywykluczeniową etyką, ma przymykać na to oczy? Może nawet odniósłbym się do Badiouowskiej kategorii "wierności Wydarzeniu", bo spontaniczne wyłonienie się kłiru (poza "kontrolowaną" i przewidywalną polityką, o jaką zabiegasz) było właśnie założycielskim Wydarzeniem. I nie wiem, czy tak rozumiana wierność Wydarzeniu pozwala mi dziś na bezkrytyczne kupowanie homozwiązków bez względu na to, w jaki projekt polityczny są uwikłane. (Argumenty Michaela Warnera, do których sprowadzasz krytykę homomałżeństw, to nie jedyna pozycja, z której krytykuje się tę instytucję.)

[...] Myślę, że wersja Deleuze'a, którą nakreśliłeś, Tomku, to raczej pop-Deleuze (chodzi tylko o "proliferację materialnych form i znaczeń"). Ale w trzech zdaniach trudno oczywiście o dogłębną prezentację. Co ciekawe, o ahistoryczności piszesz, Tomku, w kontekście Puar, która reaguje na bardzo konkretną historyczną

sytuację, odnosi się do bardzo konkretnych wydarzeń. Zresztą aż TAK deleuzjańska to ona, moim zdaniem, nie jest; o wiele bardziej deleuzjańskie podejścia można znaleźć np. w książce *Deleuze and Queer Theory* . Bardzo uproszczone jest też zdanie: "Teraźniejszość ma znaczenie jedynie jako element procesu zmierzającego do odmiennej przyszłości" - takie uproszczenie pozwala w prosty sposób połączyć Deleuze'a z Munozem i ze wszystkich zrobić nierealistycznych utopistów. Moim zdaniem to nie jest "stanowisko Deleuze'a"; w najlepszym (czy raczej najgorszym) razie może to być stanowisko niektórych interpretatorów Deleuze'a.

Kiedy tak przyglądałem się wyrażeniu "stadia rozwoju", uświadomiłem sobie, na czym polega jeden z moich głównych problemów z Twoim myśleniem: wydaje mi się, Tomku, że masz tendencję do bardzo linearnego myślenia. Jest jakiś rozwój (w domyśle: jeden) i ten rozwój ma stadia; jest np. stadium w postaci dyskusji wokół antyspołecznego zwrotu i jest to dyskusja między Edelmanem i Munozem (z syrenim śpiewem deleuzjonistów, żeby nie rzec deluzjonistów). Kolejnym stadium jest/będzie/może być zbliżenie queeru z lewicowością. Ale już np. zbliżenie queeru i posthumanizmu niespecjalnie do tego obrazu pasuje. W mojej optyce nie ma jednego queeru i różne kłiry rozwijają się w różnych kierunkach - bardzo bym się wzdragał przed wpisywaniem go w jakiś jeden proces z kolejnym stadiami (ma to ewentualnie sens np. w kontekście amerykańskiej akademii - stąd ciekawa jest Twoja,Tomku, uwaga socjologizująca pewne kłirowe zjawiska w tamtym kontekście.)

Logicznie podejrzany wydaje mi się jeszcze taki ciąg: "[...] to, co nadchodzi, ale co pozostaje nieznane, a zatem poza kontrolą, a zatem pod kontrolą nieznanego." Kluczowa jest dla Ciebie, Tomku, kontrola. To głęboko modernistyczne, a wręcz oświeceniowe myślenie: oto mamy przesłanki/dane, które pozwalają nam uprawiać politykę jako coś w rodzaju inżynierii. To prawda, to, co nadchodzi, jest poza kontrolą - właśnie dlatego, że jest poza inżynierią, że wprowadza zupełnie inny "parametr". Czymś takim był, w moim rozumieniu, samoorganizujący się ruch queer (przynajmniej u swoich początków) i był on właśnie reakcją na bardzo palącą teraźniejszość! "Pod kontrolą nieznanego" wydaje mi się logicznym wygibasem: nic nie może być "pod kontrolą" nieznanego (rozumiem, że używasz tego jako synonimu "poza kontrolą"). A kiedy martwisz się, że coś jest poza kontrolą, warto zapytać: poza CZYJĄ kontrolą? O czyją kontrolę walczysz? Poza tym cały ten dualizm znane-nieznane / teraźniejszość-przyszłość jest, moim zdaniem, mocno uproszczony. Ani teraźniejszość, ani przyszłość nie są oczywistymi terminami i zupełnie inaczej - wręcz diametralnie

różnie - można oceniać "obecny moment historyczny" i wynikające z tej oceny potrzeby działania. Skierowanie się ku "temu, co nadchodzi", nie polega wcale na porzuceniu wszystkich narzędzi i "czekaniu na Godota" (to zdanie wykreśliłeś, ale sens pozostał), nie polega na millenaryzmie.

Ja nawet sympatyzuję z Twoją, Tomku, obawą, że queer zdaje się niekiedy tracić seksualność z pola widzenia. Takie właśnie było jedno z moich wrażeń przy pierwszej lekturze Edelmana. Ale seksualność nie jest dla kłiru takim samym "obiektem badań", jakim jest dla seksuologii, prawda? Kłir patrzy raczej - po foucaultiańsku - na "warunki i środki produkcji" tego, co nazywamy seksualnością; seksualność jest zawsze produkowana - ideologicznie, dyskursywnie, politycznie (i w tym sensie Puar jest właśnie, moim zdaniem, bardzo blisko podstawowego kłirowego "impulsu"). Właściwie najbardziej kłirowy tekst, jaki znam, to "Zniszczyć seksualność" Hocquenghema. Seksualność taką, jaką znamy, należy zniszczyć, bo jest wytworem burżuazyjno-kapitalistycznego systemu społeczno-polityczno-ekonomicznego. Mówienie, że kłir ma się skupiać na jakimś stabilnym obiekcie zwanym "seksualność" przy jednoczesnym ignorowaniu (albo nominalnym potraktowaniu) sposobów produkcji i dystrybucji seksualności, to niebezpieczne zbliżanie się do seksuologii w nauce i do starej, niedobrej tożsamościowej polityki LGBT w polityce. Może właśnie w ten sposób queer bardziej traci na swojej "specyfice" i odrębności niż poprzez hybrydyzowanie się i tworzenie szeregu nowych koalicji?

TB : Rzeczywiście "stadia rozwoju" to nie było dobre sformułowanie. Możliwe, że moje myślenie jest bardziej linearne, a w każdym razie nie jest zupełnie nebularne, ale to chyba nie jest zasadnicza sprawa. Ta nasza wymiana [poglądów] uświadamia mi, że problem leży głębiej, niż początkowo myślałem [...] [M]oim zdaniem ani Deleuze, ani Badiou nie są inherentnie lewicowi albo, *excusez-le-mot* , postępowi. Tak samo jak Queer było wydarzeniem, było nim również odrodzenie Młodzieży Wszechpolskiej. Badiou świetnie by się nadał do opiewania jakichś faszyzujących postaw, podobnie jak Deleuze mógłby równie dobrze być krytykiem, co głosicielem gospodarki nadmiaru. W obu przypadkach mamy do czynienia z błędnym uznaniem analizy epistemologicznej za wizję polityczną, w dodatku bezpodstawnie uznaną za lewicową. W ten sposób pewna część lewicy próbuje się obejść bez określania lewicowych wartości, ale mnie to się wydaje raczej świadectwem politycznej niemożności.

Osobną sprawą jest wpisanie się części kłirowców w tak pojętą lewicowość. Koalicyjność, o której, Tomaszku, wspominasz, jest realna wtedy, kiedy jest obustronna. Tymczasem kłir zwykle

wyraża zainteresowanie koalicjami z innymi mniejszościami, ale bez wzajemności. Czyli mówiąc wprost, próbuje się przyłatać, żeby w ten sposób pozyskać widoczność, ale to zwykle nie wychodzi, bo te inne mniejszości nie są zainteresowane taką koalicją (wyjątkiem bywa feminizm, zwłaszcza w Polsce - może o tym warto coś napisać we wstępie?). Odpuszczanie seksualności, także w sensie krytyki tej kategorii oczywiście, jest taktycznym posunięciem, które ma tę koalicyjność ułatwić. Ja tu nie widzę żadnego Wydarzenia, tylko właśnie business-as-usual i konserwatyzm górą.

TS : Po pierwsze, to prawda, że bardzo wiele w tej dyskusji rozbija się o definiowanie lewicowości. W przeogromnym uproszczeniu rzekłbym, że jest lewicowość "klasyczna" (oświeceniowa) albo "poststrukturalistyczna". Badiou od zawsze deklaruje się jako maoista. Z jednoznacznym przypisaniem do lewicy ma także problem Foucault i cały "biopolityczny" obóz, który zapoczątkował (Foucault pisał z jednej strony przeciwko Lacanowi, a z drugiej właśnie przeciwko "klasycznej" francuskiej lewicy). D&G byli związani z radykalnymi lewicowymi i anarchistycznymi ruchami, Marks był dla Deleuze'a bardzo ważnym punktem odniesienia (nie zdążył już napisać o nim książki, którą planował) - ale oczywiście w klasycznym sensie marksistami nie byli. Zresztą czy Marks był lewicowy? Takie pytanie też można zadać; Eagleton zawsze podkreśla, że Marks był w zasadzie ogromnym fanem kapitalizmu - doceniał jego historyczną rewolucyjność i jego postępowość, więc można by o nim powiedzieć to samo, co mówisz, Tomku, o Deleuze'ie. Ja też siebie nie postrzegam jako klasycznego lewicowca i też, naprawdę, dostrzegam niezbyt dyskretny urok kapitalizmu. To bardzo ciekawe, co piszesz, Tomku, że "pewna część lewicy próbuje się obejść bez określania lewicowych wartości, ale [...] to się wydaje raczej świadectwem politycznej niemożności." Ale przecież jest kilka w miarę nieomylnych, ideowych wyznaczników lewicowości: antyfaszyzm, anty(neo)liberalizm i antykapitalizm (a przynajmniej sprzeciw wobec obecnej formy kapitalizmu), a nawet stary, dobry sprzeciw wobec wyzysku i dyskryminacji w ich różnych, powiązanych ze sobą wersjach i odmianach. W szczegółach oczywiście będzie milion różnic, ale to są jakieś szerokie ramy.

"Czy [...] przekształcenie jej [perspektywy krytycznej] w całościowy alterglobalistyczny projekt, będący pewną (radykalną) formą lewicowości, nie oznacza usunięcia z pola kłirowej uwagi zarówno różnic wynikających z usytuowania, między innymi w wymiarze geopolitycznym, jak i różnic specyficznych dla seksualności?" - dla mnie to dość dziwny zarzut, że łączenie refleksji kłirowej z ogólniejszą krytyką systemu-świata miałoby wymazywać różnice. Zaraz poniżej przywołujesz, Tomku,

(jako przykład) kwestię homozwiązków. Moim zdaniem jest dokładnie odwrotnie: kiedy Puar i inni piszą o kłirowych seksualnościach (i związanych z nimi formach aktywizmu) w Palestynie pod okupacją Izraela - to czy to jest wymazywanie różnic, czy pamiętanie o "różnicach wynikających z usytuowania"? I czy nie jest wymazywaniem różnic uniwersalizowanie prawa do związków jednopłciowych - jako naczelnego, oczywistego postulatu globalnego ruchu LGBT, w tym także ("oczywiście") w Polsce? Rozumiem, że chodzi Ci o odrobinę "zdrowego egoizmu": Palestyńczycy Palestyńczykami, ale przecież my tu w Polsce mamy konkretną kwestię: homozwiązki. To mi jednak raczej przypomina gadkę Tuska o zielonej wyspie. Czy nam się to podoba, czy nie, dzisiaj seksualności (i polityki seksualne) są kształtowane tyleż lokalnie, co globalnie i po prostu nie wyobrażam sobie, że można ten fakt ignorować (teoretycznie i politycznie). Problem tkwi właśnie w tym, że się to ignoruje. Problem "tu i teraz" tkwi, moim zdaniem, w polskiej (choć nie tylko) "niewinności", która kompletnie nie zwraca uwagi na szereg uwarunkowań (np. klasowych, ekonomicznych, neokolonialnych itd.) właśnie w polityce seksualnej. Nie dostrzega się np. pojawiających się w Polsce tendencji homonacjonalistycznych, bezkrytycznie kupuje się pinkwashing itp., itd.

Ta niewinność ma związek z odhistorycznianiem seksualności. Tak jak w kapitalizmie, co pięknie pokazał Marks, następuje wymazanie historii produkcji towaru (czy np. jesteśmy świadomi, że przy bawełnie, z jakiej zrobione są ciuchy, które właśnie mamy na sobie, pracowały w Afryce kilkuletnie dzieci?), tak w dyskursywizowaniu seksualności następuje wymazywanie historii (w tym teraźniejszości) jej produkcji. Właśnie przeciwko takiemu wymazywaniu - i źle pojętej "niewinności" - pisze np. Puar.

Kwestia "przyłatania się" to rzeczywiście jedna z kluczowych kwestii. Osobiście wolę "łatać" się do ruchów lewicowych i anarchistycznych niż do (neo)liberałów czy (neo)konserwatystów; a taki kierunek, Tomku, zdajesz się wskazywać w imię pragmatyczności i "skuteczności" (która i tak zawsze jest mierzona w relacji do założonych z góry celów, a cele te są z góry formułowane w języku liberalizmu). Zresztą w Polsce ta "skuteczność" kompletnie nie wychodzi, jak widać na załączonym obrazku. Nie mam natomiast absolutnie nic przeciwko "łataniu się" do feminizmu - choć oczywiście w feminizmie też istnieje konflikt pomiędzy potężnym skrzydłem liberalnym i dużo słabszym (przynajmniej na razie) skrzydłem lewicowym. Zgadzam się, że nie należy odpuszczać kwestii seksualności, cielesności, pożądania, abiektyzacji, zasklepiania się w mieszczańskiej moralności itd. Jednym słowem - nie należy odpuszczać

nieredukowalnego nadmiaru w obecnie obowiązujących regułach politycznych. Ale nie mam na myśli seksualności jako stałego, ahistorycznego atrybutu, który określa pewną zbiorowość (kosztem np. relacji klasowych i rasowych, które są wymazywane) i staje się podstawą platformy politycznej typu "one-issue politics". W mojej optyce kłir o wiele więcej traci na koalicji z (neo)liberalizmem niż na koalicji z radykalną lewicą czy (post)anarchizmem. Nawet jeśli stawką jest możliwość bądź niemożliwość zawierania związków.

Dlaczego "wierność Wydarzeniu" nagle wydała mi się (ku mojemu nawet zaskoczeniu) adekwatną kategorią? Chyba właśnie dlatego, że pozwala uniknąć "wierności tożsamości" albo jakiejś platformie politycznej. Wokół Wydarzenia organizują się wspólnoty polityczne (prototypem jest oczywiście ukrzyżowanie Chrystusa) i oczywiste jest, że dla niektórych Wydarzeniem jest odrodzenie się idei Wielkiej Polski czy czegoś tam. (Nota bene, zawsze pociągał mnie w chrześcijaństwie właśnie pewien radykalizm, to kompletne zerwanie z dotychczasowym porządkiem; równie mocno odpychała mnie "wierność" doktrynie, instytucji itp.; podobnie mam z kłirem.)

TB : A propos homonacjonalizmu, moim zdaniem nie należy mieszać logiki argumentacji z logiką wydarzeń, która jest w istocie logiką targu. Związki (w Izraelu czy w Polsce) nie są ceną za ignorowanie Palestyńczyków z jakiejś konieczności, to może wynikać tylko z takiego, a nie innego ustawienia sprawy. Więc trzeba oponenta ograć - wziąć związki i powalczyć o Palestyńczyków, że tak powiem, a nie próbować grać w otwarte karty, które oczywiście nigdy nie będą ułożone tak, jak to sobie wyobrazimy, bo druga strona (rząd) niczego nie odsłania. W tym sensie radykalizm kłir stanowi tylko dopełnienie graczy grających po naszej (tj. LGBT) stronie - z jednej strony patrzy im na ręce (ale kart im z rąk nie wyrywa), krytykuje, ale nie powstrzymuje (chociażby mógłby przynajmniej spróbować, ale nie chce, nawet nie próbuje np. pikietować konferencji "National Gay and Lesbian Task Force"), a przy okazji służy im za listek figowy, że proszę, jaki ten ruch LGBT ładnie samokrytyczny. Czyli uprawiamy pinkwashing polegający na krytyce pinkwashingu, szczyt cynizmu doprawdy. Jakoś jednak nikt o tym nie pisze.

TS : Masz, Tomku, sporo racji - oczywiście pod warunkiem, że związki uznamy za niekwestionowany cel i sens każdej odmieńczej polityki i że gra toczy się po prostu pomiędzy "nami" (LGBT i ewentualnie Q) a "rządem" - co moim zdaniem jest ogromnym redukcjonizmem. W mojej własnej argumentacji - nie tylko w naszej dyskusji - pojawiają się i czasem pewnie mieszają dwa wątki: krytyka homozwiązków jako takich oraz krytyka

"układów politycznych", w jakie ta kwestia jest wikłana. Sponsorowane (w mniej lub bardziej otwarty sposób) przez rząd izraelski wydarzenia LGBT są bojkotowane (np. LGBTQ World Youth Leaders Summit w Tel Avivie), jest kampania BDS popierana przez Butler czy Johna Greysona (kanadyjskiego reżysera) - ale oczywiście te akcje nie mają zbyt wielkiej widoczności. A Puar i jej "obóz" pisali już krytycznie o pinkWATCHingu (np. tutaj), co troszkę koresponduje z Twoją uwagą o "listku figowym"; a więc pisze się o tym, pisze.

TB : Dzięki za artykuł. Muszę jednak powiedzieć, że on wydaje mi się świadectwem głębokiej konfuzji.

Co to znaczy, że "Disconnecting the 'stellar' status of gay rights in Israel from its historical occupation of Palestine and invasions and occupations of other Arab countries is precisely the mode of analysis through which homonationalism operates", gdy za chwilę autorzy piszą: "The question of homophobia within Palestinian society has nothing to do with the fact that Israeli occupation must end." Nothing to do with...? No to potrzebna jest wspólna analiza LGBT i innych spraw, czy właśnie niepotrzebna? Chyba że oni piszą, że okupacja Palestyny to problem ważniejszy od homofobii w Palestynie. Jeśli tak uważają, to trzeba zapytać, czy to jest przejaw ich homofobii. Albo to: "Pinkwatchers in the region unsurprisingly do not recognize the right to serve in a colonial army that occupies Palestine and has invaded and occupied other Arab states for decades as a commendable gay right." Izrael ma obowiązkową służbę wojskową, a USA nie, i stąd ta różnica. Przecież to jest oczywiste. Kiedy w Polsce była służba zasadnicza, w poradniku Lambdy było napisane, jak się od tego wywinąć, a nie, jak tam się dostać. I jeszcze takie coś na samym początku: "Thus, pinkwatchers in the US ignore 'divisive' questions such as [...] the fact that all of what today is called Israel used to be called Palestine not that long ago". To mniej więcej tak, jakby powiedzieć, że jeśli chodzi o prawa LGBT, to trzeba jednak pamiętać, że Wrocław do niedawna był niemiecki. Rozumiem, że oni nie proponują wprost masowych wysiedleń Żydów z Izraela (dokąd?), ale dokładnie o tym mówimy, kiedy nowa o polityce Izraela, jakkolwiek nagannej. Autorzy starają się udawać, że tak nie jest, opierając się na milczącym założeniu, że USA zadbają o Izrael, więc takim mniej czy więcej holokaustowym scenariuszem można się nie przejmować. Ale skoro tak, to ten ich artykuł jest równie cyniczny jak to, co oni krytykują. To jest po prostu bardzo powierzchowna analiza.

TS : Argument Puar jest, na ile go rozumiem, mniej więcej taki: z jednej strony istnieje oficjalna polityka i propaganda rządu, który legitymizuje się poprzez swoją tolerancję i nowoczesność,

a jednocześnie wymazuje historię opresji Palestyńczyków, w tym palestyńskich odmieńców (bardzo obrazowy i prawdziwy przykład to promowanie gejowskiej turystyki do miejsc, które były kiedyś zamieszkiwane przez Palestyńczyków, a potem zostały zrównane z ziemią, żeby powstały plaże i hotele). I to jest "disconnecting". Co więcej, elementem tej samej polityki jest legitymizacja trzymania Palestyńczyków pod butem właśnie ze względu na ich (jakby przyrodzone całej populacji) zacofanie i homofobię. Czy Puar zaprzecza, że wśród Palestyńczyków istnieje homofobia? Nie. Mówi tylko, że nie należy instrumentalizować tej homofobii do uzasadniania polityki Izraela względem Palestyńczyków. I jest to (być może zbyt ostro sformułowane) "has nothing to do". Można się z takim argumentem zgadzać lub nie, ale Puar mówi, że procesy kulturowo-społeczne zachodzące wśród Palestyńczyków to jedno (i jest to sprawa wyłącznie Palestyńczyków), a odmawianie podstawowych praw obywatelskich pewnej etnicznej populacji w państwie izraelskim to drugie.

To jest zresztą argument niektórych lokalnych organizacji queerowych. Jedna z nich pisze np. tak:

"Palestinian Queers for BDS members point out that it is irrelevant whether Palestinian society is homophobic or not, and that the question of homophobia within Palestinian society has nothing to do with the fact that the Occupation must end. The Occupation is in this context quite simply a queer issue. Al-Qaws makes it clear that its primary work is about ending the occupation, not about reifying a homosexual identity that mirrors an "Israeli" or "Western" self-serving form of sexual freedom. "

Kiedy czytam: "Jeśli tak uważają, to trzeba zapytać, czy to jest przejaw ich homofobii", to trochę jeży mi się włos na głowie, bo to zahacza o używanie terminu "homofobia" trochę jak knebla (podobnie jak krytyka polityki rządu izraelskiego często podciągana jest pod antysemityzm, niezależnie od tego, czy krytyka ta pochodzi od Żydów czy nie-Żydów). Puar et al. mówią (czytałem to np. również na palestyńskich queerowych blogach), że status (prawny, polityczny, społeczny) palestyńskiego odmieńca jest PRZEDE WSZYSTKIM determinowany przez fakt bycia Palestyńczykiem. Co Palestyńczykowi z "praw dla mniejszości seksualnych" w Izraelu, skoro on i tak nie ma do nich dostępu? Znowu można polemizować, ale ja osobiście rozumiem argument, że walka przeciwko okupacji i apartheidowi jest w tym momencie strategicznie kluczowa - do głowy by mi nie przyszło doszukiwać się w tym homofobii, choć możliwe i pożądane są spory o strategie działania.

Warto spróbować wczuć się w rolę palestyńskiego, a nie żydowskiego geja (pomagają w tym teksty pisane bezpośrednio przez żyjące tam osoby) - z tej perspektywy sprawy wyglądają jednak inaczej, a już zwłaszcza słynna izraelska tolerancja dla LGBT (polecam np. to: http://radicalbi.wordpress.com/2012/04/13/

Co do służby wojskowej: mówisz o różnicy między Izraelem i USA, a zaraz potem podajesz przykład z peerelowskiej Polski, gdzie sytuacja też była zupełnie inna (np. w Izraelu Palestyńczycy - a więc także palestyńscy geje - NIE MOGĄ służyć w wojsku, nawet gdyby - perwersyjnie - chcieli). Ale w tym argumencie chodzi przecież o coś innego: o to, jak kompletnie chybione jest mierzenie postępowości państwa poprzez jeden uniwersalny standard "praw gejowskich", obejmujących głównie małżeństwo i służbę wojskową. W przypadku Izraela/Palestyny to kompletnie zawodzi. No bo jak palestyńscy geje mieliby służyć w armii, która ich okupuje? Jak w ogóle mogliby chcieć tego żądać od państwa? Puar wskazuje tu na różnicę w perspektywie między "lokalnymi" i amerykańskimi pinkwatcherami i na bezsens myślenia w kategoriach, które nie uwzględniają lokalnych uwarunkowań.

I na koniec: sięganie po widmo Holokaustu jest, w moim odczuciu, dużym nadużyciem. Z tego co wiem, niemal wszystkie ruchy społeczno-polityczne dotyczące kwestii palestyńskiej walczą z okupacją terenów zajętych w 1967 r. i z polityką apartheidu, a nie z państwowością Izraela. Najbardziej radykalni krytycy (z którymi się nie zgadzam) nazywają holokaustem postępowanie Izraela względem Palestyńczyków - więc może nie szafujmy tym skrajnym argumentem, tylko przyjrzyjmy się, jakie dokładnie cele stawiają sobie te ruchy. A fakt, że Wrocław był niedawno niemiecki, ma zapewne znaczenie (choćby sentymentalne, ale afekty też są w polityce ważne) dla wielu Niemców, wśród nich również, jak można domniemywać, dla niektórych niemieckich gejów i lesbijek. Wszyscy wiemy, że do niedawna wspominanie niemieckości Wrocławia było tabu, ale dzisiaj z grubsza już się ludzie nauczyli, że stwierdzenie tego prostego faktu NIE JEST równoznaczne z żądaniem powrotu Wrocławia do Niemiec.

TB : Z tego, co piszesz, wynika, że argumentacja w Palestynie jest z grubsza taka, jak była w Polsce za tzw. komuny - ważniejsza jest walka na poziomie bardziej ogólnych wolności (np. swobodny wyjazd za granicę) niż walka o prawa kobiet albo o prawa LGBT. Nie twierdzę, że Palestyńczycy, także LGBT, nie mają prawa tak uważać, ale nie jestem przekonany, że Puar powinna tak pisać - i mój zarzut homofobii jest skierowany pod adresem autorek

artykułu "Pinkwatching and Pinkwashing: Interpretation and Its Discontents", które albo same sobie przeczą, albo piszą wprost, że działania skierowane tylko przeciwko osobom LGBT są mniejszym złem, niż te szerzej skierowane. To właśnie jest homofobiczne, zwłaszcza gdy nie pochodzi od opresjonowanych osób LGBT, tylko od innych osób, które tak jakoś obiektywnie to oceniły, przyglądając się sytuacji z zewnątrz. Puar i Mikdashi nawet nie uzasadniają tej swojej oceny sytuacji.

Oczywiście, że nie należy instrumentalizować homofobii, żeby usankcjonować działania Izreala. Ale prawdę mówiąc, Izrael zupełnie inaczej uzasadnia apartheid, niż odwołując się do spraw LGBT. Zwykle mówi o terroryzmie, a sprawy LGBT mają tu trzeciorzędne znaczenie. To Puar, Butler i inne osoby próbują koniecznie znaleźć jakieś powiązanie między sprawami kłirowymi a apartheidem w Izraelu, ale to jest tylko odciąganie uwagi od istoty tego konfliktu, żeby mówić o tym, co je interesuje i z czym są identyfikowane na rynku idei. W tym sensie pinkwashing jest wynalazkiem queerowej krytyki, a nie izraelskich polityków. A w każdym razie jego znaczenie jest przez queer rozdmuchane.

W ogóle nie rozumiem, co to znaczy, że zakończenie okupacji Palestyny przez Izrael to jest "queer issue". W jakim sensie? (Pomijając ważniejszą chyba kwestię, czy zakończenie okupacji oznacza utworzenie z Palestyny osobnego państwa, czy jakąś integrację Izraela i Palestyny bez apartheidu, czy może terytorialną likwidację Izraela - co właściwie miałoby nastąpić po zakończeniu okupacji?) Zakończenie okupacji to nie jest "queer issue". Pisanie w ten sposób służy chyba wyłącznie temu, żeby się opublikować na queerowych łamach. Chyba że uznamy, że queer dotyczy wszelkiej opresji i dąży do równości i sprawiedliwości we wszelkich dziedzinach. Problem polega wówczas na tym, że takie queer jest uzurpacją albo plagiatem. Trochę czerpie z chrześcijaństwa, trochę od Marksa, i jakoś to się przędzie. Najlepiej przestańmy mówić na to queer, bo naprawdę nie wiadomo, po co to słowo tutaj jest potrzebne. Oczywiście, że w armii izraelskiej służą Żydzi, a nie Palestyńczycy. To jest chyba zgodne z mandatem ONZ, który zatwierdził podział Palestyny po drugiej wojnie. I wynika z samej natury etnicznego konfliktu, o jakim mówimy. Jednak Puar pisze o tej armii tak, jakby ludzie chcieli się do niej dostać. Sorry, to jest nieporozumienie po prostu, świadczące o nieznajomości terenu, który się rzekomo zbadało. To trochę tak, jakby ktoś napisał przed 1989 r., że służba zasadnicza to kolonialny przywilej Polaków, bo nasze wojsko w 1968 r. zaatakowało Czechosłowację, i że zapewne próbowaliśmy odbić Zaolzie. To jest literalnie prawda, że napadliśmy na nich, ale jednak chodząc na obowiązkowe szkolenie wojskowe, nie czułem tej dumy i tego typu krytyka mnie jako żołnierza wydałaby mi się dość śmieszna.

Zapewne jacyś polscy rekruci odczuwali jakąś dumę tego rodzaju, podobnie musi być z Izraelczykami, ale już porównywanie tego z polityką Billa Clintona "Don't Ask, Don't Tell" jest absurdalne, bo chodzi o zupełnie inne rodzaje przywileju. Jeszcze a propos armii izraelskiej - nie żebym był jej apologetą - ale pisanie, że to jest armia kolonizatorów jest dość przesadne. Izrael nie został utworzony w ten sposób, co kolonie europejskie, ani przez aneksję (jak np. aneksję części Meksyku przez USA, o czym Puar nie pisze, ograniczając się do jakichś ogólników, że USA są kolonialne - ale nie wiadomo, czy całe, czy w części, a może tylko w swoich militarnych działaniach poza aktualnym terytorium. Czy Puar uważa, że USA powinny zakończyć, powiedzmy, okupację Południowego Zachodu? - po prostu nabrała wody w usta i tylko na marginesie, ogólnie rzuca, że USA są kolonialne, cokolwiek mogłoby to znaczyć). Być może jego utworzenie było błędem, albo jego ulokalizowanie było błędem, ale tego nie da się przecież bezboleśnie odkręcić. Zupełnie inaczej niż w przypadku granicy polsko-niemieckiej, granice i sama państwowość Izraela nie są uznawane przez ogromną większość krajów arabskich, o czym łatwo się przekonać podróżując, bo z wizą izraelską w paszporcie nie wjedziesz np. do ZEA. Iran wprost mówi, że dąży do likwidacji Izraela. Zagrożenie Izraela nie jest wcale wydumane i nie jest tylko jakimś pretekstem do gnębienia Palestyńczyków.

Powoływanie się na "queer" w ogóle nie daje żadnych odpowiedzi na te pytania i naprawdę trudno mi zrozumieć, czemu służy poza jakiemuś puszeniu się, że queer wszystko załatwi. Guzik załatwi. Gdyby można było pogodzić rozbieżne interesy, to już dawno byłyby pogodzone. Można oczywiście oburzać się, że prawa LGBT są wykorzystywane propagandowo, ale to w ogóle nie dotyczy sedna spraw, o które w tym konflikcie chodzi. Moim zdaniem queer w tym sensie, w jakim jest używane przez Puar i przez Radical Bi jest zupełnie nielogicznym melanżem spojrzenia analitycznego, które próbuje wziąć pod uwagę różne elementy politycznej układanki, i partykularnego spojrzenia "queer", którego "właścicielem" jest jakiś podmiot kłirowy, który co prawda unika autodefinicji, ale jednak nie utożsamia się z każdą pozycją i w tym sensie jest partykularny. Tak się nie da. Można te strategie spojrzenia próbować łączyć, jeśli się ujawnia swoje usytuowanie, a nie zaciera. (Już zupełnie na koniec: można jeszcze powiedzieć, że Puar rozprawia się z pinkwatchers w USA i że w ogóle nie odnosi się do sytuacji w Izraelu w jakimś realnym sensie. Ale to oczywiście kompletny ziew.)

TS : Nie rozumiem, dlaczego Puar "nie powinna" tak pisać, skoro jej punktem wyjścia są właśnie lokalne głosy "opresjonowanych osób LGBT". Błąd, który moim zdaniem popełniasz, jest taki, że z góry zakładasz istnienie określonych podmiotów LGBT, które

w określony sposób będą artykułować swoją opresję; na inne artykulacje pozostajesz zamknięty. To zresztą oczywiste, że użyczając swojego nazwiska, Puar sprawia, że lokalne punkty widzenia stają się dużo bardziej widoczne na Zachodzie. (Druga autorka jest z Libanu, gdzie zajmuje się kwestiami politycznymi i kulturowymi, często z genderowego punktu widzenia.)

Czy pinkwashing i homonacjonalizm są "rozdmuchane"? To kwestia sporna. Jest raczej tak, że kwestie LGBT są w tej chwili jedną z topowych kwestii politycznych prawie na całym świecie. W tej krytyce chodzi o to, że wybiórczo, zachodniocentrycznie i neoliberalnie rozumiane parametry różnicy są wykorzystywane do legitymizowania i usprawiedliwiania pewnego rodzaju polityk: polityk seksualnych, rzecz jasna, ale nie tylko. Powiedzieć, że sprawa homonacjonalizmu jest rozdmuchana to tyle samo, co powiedzieć, że w ogóle kwestia LGBT i polityk seksualnych jest rozdmuchana.

Czy "ważniejsza jest walka na poziomie bardziej ogólnych wolności"? Inaczej: zmiana jednego elementu w układance kłirowi nie wystarcza (ruchowi LGBT być może tak). Queer walczy o zmianę całej filozofii państwowej i doszukuje się wspólnych źródeł rożnych rodzajów opresji. A dlaczego na przykład kłir ma trzymać sztamę z feminizmem? Chodzi o sentyment albo o polityczną kalkulację? Nie, chodzi o upatrywanie wspólnych źródeł opresji. Nie wiem, czemu to bez problemu kupujesz, ale kiedy wchodzimy na połączenie kłiru z krytyką innych opresji (rasizm, militaryzm, dominacja kapitalizmu etc.), to nagle kłirowi grozi zatracenie swojej unikalności. Co jest kłirowego w walce z okupacją? Jedną z możliwych odpowiedzi (zresztą podaną w dość klasycznym liberalnym języku "praw" znajdziesz np. tutaj).

Nie wiem, kto i gdzie napisał, że przemoc wobec osób LGBT jest "mniej ważna" - to jest jedna z Twoich zbyt śmiałych inferencji. To zupełnie co innego powiedzieć, że opresja LGBT jest mniej ważna, a co innego, że kwestia opresji odmieńców (palestyńskich czy izraelskich) nie może być rozwiązana bez rozwiązania kwestii okupacji i i apartheidu. Rozumiem, że się z tym nie zgadzasz - ale wielu odmieńców w Palestynie, a nawet w Izraelu, tak właśnie uważa. (Oczywiście wiele osób LGBT w Izraelu po prostu dumnie korzysta ze swoich swobód i uprawnień i dumnie służy w armii. Wybiórcze przyznawanie praw zawsze neutralizuje radykalny potencjał ruchów równościowo-wolnościowych i pozwala państwu "kupić sobie" lojalność pewnej grupy społecznej.)Puar et al. nie są boginiami logiki i prawd wszelakich. Pewnie, że można i trzeba z nimi polemizować. Główna różnica między Tobą i nimi jest taka, że one opisują rzeczywistość, wychodząc poza zachodniocentryczny język (neo)liberalizmu, przed czym Ty

zdecydowanie się bronisz; ba, w ogóle nie dopuszczasz możliwości innego języka. Jeśli w Palestynie definiują kłir poprzez walkę z okupacją (na tym historycznym etapie, bo przecież nie "na zawsze"), to dla Ciebie to już przestaje być kłir, bo kłir może mieć tylko jedną partykularność - made in the US. Dość kluczowe jest tu pojęcie "reifikacji" - czy możliwy jest partykularyzm bez reifikacji? (Jest to zresztą odbicie jednego z podstawowych pytań kłiru: czy możliwa jest polityka queer bez tożsamości?) Twoim zdaniem, jak zgaduję, nie. Ale tak myśli biały mężczyzna z Zachodu, który może sobie na bezproblemową reifikację i partykularyzację pozwolić; a jak np. mają się do tego niebiali odmieńcy? I/lub odmieńcy żyjące w zupełnie innych warunkach geopolitycznych? Co ich bardziej partykularyzuje i reifikuje: rasa, etniczność, religia, seksualność...?

I na koniec: mam wrażenie, że cały czas nie rozgraniczasz dwóch spraw: krytyki nielegalnej (wedle wszelkich międzynarodowych praw) okupacji części Palestyny i krytyki (legalnego) istnienia państwa Izrael. Jestem dokładnie w takim samym stopniu za istnieniem Izraela, jak za zakończeniem okupacji i apartheidu. Doskonale zdaję sobie sprawę, że zagrożenie nie jest wydumane i że nie brakuje w świecie arabskim ludzi, którzy chętnie wymazaliby Izrael z mapy; ale jeśli stan zagrożenia państwa (stan wyjątkowy) uzasadnia wszystko - każde łamanie praw jednostki i praw międzynarodowych - to skończmy z tą fikcją, że prawo ma jeszcze jakiekolwiek znaczenie. Po prostu jest prawo siły i prawo faktów dokonanych, nic poza tym. TINA ("There Is No Alternative").

TB : Piszesz: "Queer walczy o zmianę całej filozofii państwowej i doszukuje się wspólnych źródeł rożnych rodzajów opresji. A dlaczego na przykład kłir ma trzymać sztamę z feminizmem? Chodzi o sentyment albo o polityczną kalkulację? Nie, chodzi o upatrywanie wspólnych źródeł opresji." To prawda, ale chodzi także o kalkulację. Albo inaczej: chodzi o dość wąsko zlokalizowane źródło opresji (o patriarchat w odmianie homofobicznej, mówiąc ogólnie). Kalkulacja zaś polega na przeświadczeniu, że powiązanie praw kobiet i LGBT będzie intuicyjnie uchwytne dla opinii publicznej. To się zresztą potwierdziło, kiedy pisma kobiece ujęły się za uczestnikami akcji "Niech nas zobaczą", także za gejami, robiły z nimi wywiady, opisywały kłopoty, na jakie naraziła ich widoczność. Z drugiej strony feministki zapewne uważają, i chyba słusznie, że rejestracja związków nastąpi w Polsce łatwiej i szybciej, niż zniesienie zakazu aborcji, ale że takie poluzowanie obyczajowe, jak wprowadzenie związków, ułatwi sprawę z aborcją. Więc to jest jak najbardziej kalkulacja. Oby okazała się słuszna.

I oczywiście takie kalkulacje są możliwe także w innych wymiarach,

takich jak rasa i etniczność. Ale ja tego nie dostrzegam w odniesieniu do Izraela i Palestyny. Przede wszystkim nie bardzo widzę tę obopólność, jaką widać w Polsce między feminizmem a LGBT. Może to moja ślepota, ale widzę po prostu działaczy LGBT domagających się zniesienia apartheidu. Oczywiście nie ma w tym nic złego, ale po prostu nie rozumiem, w jakim sensie jedno z drugim łączy coś "kłirowego". (Chyba że za kłir uznamy każdy rodzaj opresji, ale wówczas postulowałbym, żeby pisać opresja, a nie kłir). W szczególności nie uważam wcale, że uznanie państwowości Palestyny będzie skutkowało respektowaniem praw LGBT w takim nowo utworzonym państwie. Spodziewałbym się raczej, że będzie odwrotnie. Widzę oczywiście, że krytycy pinkwashingu nie obiecują sobie zbyt wiele po wolnej Palestynie, jeśli chodzi o prawa LGBT, ale pomijanie przez nich tej kwestii jest dziwne, bo wydawałoby się, że to jest sedno sprawy, gdy idzie o prawa LGBT i samostanowienie Palestyny. Chyba że oni rzeczywiście uznają wolność Palestyny za ważniejszą rzecz. Mają prawo, ale taka postawa jest tożsama z uznaniem, że prawa LGBT są mniej ważne. Oni tego nie mówią wprost, bo to jest un-PC, ale to jasno wynika z tego, co mówią. Albo mówią, że obie rzeczy są ważne, ale to jest taka abstrakcyjna prawda, bez przełożenia na polityczną sytuację. Mnie nie przeszkadza sama krytyka pinkwashingu jako pewnej odmiany propagandy państwowej (może nawet chętnie skrytykowałbym ją lokalnie, ale tak się głupio składa, że nawet nie ma czego krytykować...), tylko przeszkadza mi to, że ta krytyka polega na bardzo wybiórczym przedstawieniu całej sprawy, którą w gruncie rzeczy zaciemnia. Czyli mówiąc wprost, przeszkadza mi manipulowanie. Oczywiście masz rację, że ja się upieram przy reifikacji i partykularyzmach. Doceniam Derridę i otwarcie na Innego, a nie tylko na partykularnych innych. Ale takie myślenie ma racje bytu jedynie na sposób dialektyczny, w powiązaniu z reifikacją i partykularyzmem. Każde prawo odnosi się do partykularnych podmiotów, czyli niektórych wyklucza. Jeśli nawet powstałaby wolna Palestyna respektująca prawa LGBT, to będą inni, których prawa nie będą respektowane, albo którzy nie będą mieli wstępu na jej terytorium i w związku z tym dostępu do tych praw. Nie wydaje mi się, żeby to był przejaw mojego liberalizmu, tylko że to leży w samej naturze praw i ich ścisłego związku z terytorium, w którym obowiązują. Natomiast walka "o zmianę całej filozofii państwowej" to już dla mnie dość niejasne zadanie. Jeśli masz na myśli stworzenie państwa, w którym nie będzie formalnych praw ani relacji władzy, to polecam artykuł Anki Z w tym numerze. (I uprzedzam z góry, że zamierzam przejąć władzę w takim państwie, kiedy tylko się pojawi.)

W wielu postępowo-queerowych wypowiedziach przeszkadza mi bardzo jakiś ton moralnej wyższości, który krytycznie do wszystkiego się odnosi. Np. Silverstein na samym początku

pogardliwie pisze o "speechifying" Obamy - można się z Obamą nie zgadzać, ale posługiwanie się takim tonem powoduje, że mnie natychmiast odrzuca. W rezultacie tak można "preach to the converted", ale trudno kogoś przekonać. Jego artykuł jest ciekawy, ale w końcu mam wrażenie, że to nie tyle analiza, co zbiór tzw. pobożnych myśli. Jasne, że lepszy będzie lepszy Izrael od Izraela teraz. Pytanie, jak tam trafić. W artykule Puar i jej współautorki nie jest jasne, z jakiej mówią pozycji, i przez to brzmią trochę moralizatorsko.

TS : Tomku, w swojej argumentacji każde myślenie niezgodne z neoliberalną Realpolitik uznajesz po prostu za mrzonki... ;-) Tym, co nie przestaje mnie zadziwiać, jest bezproblemowe odłączanie kwestii płci, seksualności, patriarchatu itp. od kwestii wolnego rynku czy neoliberalnego urabiania społeczeństw. A ja z uporem maniaka będę powtarzał kłirowy truizm, że płeć i seksualność są zawsze i w każdym miejscu PRODUKOWANE, w tym także - w przeogromnej mierze - przez rynek, przez (neo)kolonializm i przez obowiązujące (liberalne) paradygmaty rozumienia polityczności w ogóle. Nawet jeśli patriarchat (a wraz z nim określone płcie i seksualności) istniał przed kapitalizmem i przed nowocześnie rozumianą państwowością, to jego obecny, na wiele sposobów zinstytucjonalizowany kształt tworzy się w warunkach nowoczesnych koncepcji państwa i polityki w ogóle, mniej czy bardziej jawnych projektów kolonialnych oraz rozpasanego kapitalizmu. Ignorowanie tego faktu - powtarzanie, że robiąc kłir mówimy "po prostu" o seksualności, w oderwaniu od tego, w jaki sposób jest ona obecnie produkowana - to kolosalny błąd zarówno analityczny, jak i strategiczny. Nikt nie mówi, że nagle mamy przestać myśleć o seksualności i zacząć studiować wyłącznie ekonomię. Ale poszerzanie pola widzenia teorii queer - poprzez dostrzeganie szeregu nieoczywistych na pierwszy rzut oka zależności - jest dla mnie czystym zyskiem, a nie stratą. Nowe narzędzia analityczne prowadzą też, rzecz jasna, do nowych "kalkulacji politycznych", jeśli już lubisz taki rachunkowy język.

Pisząc: "[...] widzę po prostu działaczy LGBT domagających się zniesienia apartheidu", po raz kolejny udowadniasz błąd, który Ci wcześniej wytknąłem: Ty po prostu z góry WIESZ, jak wyglądają działacze LGBT, jak powinni odczuwać swoją opresję i z nią walczyć. Zakładasz, że walka z apartheidem jest jakby "nie ich sprawą", tylko (nieodwzajemnioną) koalicją. Piszesz: "[...] taka postawa jest tożsama z uznaniem, że prawa LGBT są mniej ważne" - bo nie istnieje dla Ciebie inna możliwa polityka kłir jak tylko dążenie do "uznania praw LGBT". Powtórzę, że takie podejście wydaje mi się w zachodniocentryczny sposób aroganckie, nieczułe na delikatne i skomplikowane kwestie (neo)kolonialne.

Czy w Polsce "[...] nawet nie ma czego krytykować"? Oczywiście, że nie pinkwashing taki, jak w wydaniu Izraela. Ale elementy pinkwashingu są już widoczne w krajach europejskich (łączenie w jednym programie politycznym poparcia dla praw LGBT z polityką antyimigrancką) - a to już bliżej nas. Zresztą z radykalnych lewicowych pozycji za pinkwashing w Polsce można by teoretycznie uznać Palikota, który łączy (czegóż on nie łączy?) zasadniczo neoliberalną wizję państwa z wizerunkiem nowoczesności i postępowości.

To trochę tak jak z kwestią rasizmu: przecież Polski specjalnie nie dotyczy, bo mamy za mało niebiałych. Jeśli homonacjonalizm jest powiązany z kwestią neoliberalizmu, to przecież jest powiązany z Polską - jednym z pierwszych poligonów neoliberalnej "terapii szokowej" po upadku muru. Właśnie w Polsce sformatowanie umysłów przez filozofię neoliberalną osiągnęło przerażające, w moim odczuciu, rozmiary - także w środowisku LGBT. Właśnie ze względu na swoją specyfikę środowisko to mogłoby wykazać się większym krytycyzmem.

Zdanie o "zmianie całej filozofii państwowej" jest oczywiście ogólnikowe i wiele treści można tu podłożyć - niekoniecznie to, co mi sugerujesz. Można próbować zmienić militaryzm państwowy, usprawiedliwiającą wszystko politykę "stanu zagrożenia", relacje pomiędzy państwem a kapitałem/wolnym rynkiem, filozofię prawną, itd. Oczywiście to nie jest tak, że ja się na tym wszystkim znam i mam jakieś recepty, ale czytuję czasem przekonujące artykuły ludzi, którzy w danej kwestii mają większe pojęcie niż ja. (Np. w filmie "Debtocracy" jest przykład tego, w jaki sposób Ekwador wyłamał się z faktycznego uzależniania państw od dominacji międzynarodowych instytucji finansowych - i to bez jakiegoś "zamachu stanu" typu Fidel Castro.)

Jeśli z czymś w Twojej argumentacji sympatyzuję, to na pewno z wyczuleniem na "ton moralnej wyższości" w różnych artykułach naukowych. To trochę kwestia indywidualnego stylu, trochę polemicznej swady (nie brakuje Ci jej, kiedy piszesz o Munozie!). Ale ten miecz jest obosieczny: podejrzewam, że Puar pisze przeciwko temu, co w jej odczuciu jest właśnie zachodniocentrycznym, liberalnym poczuciem wyższości w odniesieniu do lokalnych ruchów w Palestynie (i nie tylko).

Chcę jeszcze wrócić do idei "zmiany filozofii państwa / prawa". To właśnie nie gdzie indziej tylko w Izraelu małżeństwa albo związki cywilne de facto nie istnieją, istnieją tylko małżeństwa religijne (co zresztą prowadzi do szeregu wykluczeń). Kiedy mowa o uznawaniu cywilnych związków jedno- czy różnopłciowych w Izraelu, to chodzi o uznawanie związków zawartych w innych

krajach. Czyli władza w Izraelu jako taka nie udziela małżeństw (ale je uznaje). To bardzo ciekawe, bo to nie jest wcale takie odległe od postulatu zniesienia instytucji małżeństwa w ogóle; albo też przejścia na system, w którym każda deklarowana forma związku cywilnego (np. miedzy dowolną liczbą osób) jest "z automatu" uznawana przez państwo (tak oczywiście w Izraelu nie jest).

Tomku, w swoich poprawkach do wstępniaka znowu piszesz coś, pod czym nie mogę się podpisać: mianowicie forsujesz liberalny dogmat o polityce jako walce o ograniczone zasoby; każde inne myślenie jest dla Ciebie z definicji "utopijne". Ten dogmat był wielokrotnie krytykowany i zbijany, ale dzięki neoliberalnej hegemonii trzyma się dobrze. Nawet w książce harvardzkiego filozofa politycznego, Michaela Sandela, *What Money Can't Buy* , która nie jest bynajmniej z założenia po prostu antyrynkowa, są analizy pokazujące, że koncepcja fundamentalnego niedostatku prowadzi w kapitalizmie do ekonomizacji wszystkiego, łącznie z solidarnością społeczną, miłością, życiem i śmiercią. Następuje znaczące zawężenie polityczności i atrofia relacji społecznych. Są inne analizy, które pokazują, w jaki sposób rzekomy "pierwotny niedostatek" jest de facto produkowany przez sam kapitalizm - czy to w sensie wytwarzania "sztucznych potrzeb", czy w sensie wyniszczającej eksploatacji zasobów ludzkich i naturalnych. To jest zresztą jeden z wielu schizofrenicznych paradoksów kapitalizmu: legitymizuje się za pomocą dogmatu o "ograniczonych zasobach", a jednocześnie funkcjonuje tak, jakby kompletnie nie dostrzegał ograniczonych ekologicznych zasobów planety. Kapitalizm jest jak piramida finansowa, choć myśli, że jest perpetuum mobile, produkując nadmiar, produkuje niedostatek, a niedostatek staje się legitymizacją produkcji nadmiaru. Więc jeśli ja (oczywiście "utopista") odrzucam parametry polityczności wyznaczone przez neoliberalizm (niedostatek, interes własny itd.), to nie tylko ze względów emocjonalnych czy etycznych, ale także po prostu analitycznych. Już choćby głośne ostatnie batalie o dostęp do wiedzy i kreatywności: z jednej strony "grodzenia" (prawa autorskie, ograniczanie dostępu, interesy własne itd.), a z drugiej ruchy walczące o maksymalną otwartość i dostępność zgodnie z filozofią "sharing is caring". Zizek jakoś tak prosto to ujął, że jeśli dzielę się ideą, to nie jest tak, że ja mam pół idei i ty masz pół idei, tylko obaj mamy po idei. Sandel podaje przykład "cnót obywatelskich" traktowanych właśnie jako ograniczony zasób i "oszczędzanych" na gorsze czasy (tymczasem mamy po prostu zajmować się własnym interesem i konsumpcją). Sandel mówi, że jest z nimi dokładnie odwrotnie, tak jak z mięśniem: nieużywany zanika. To tylko pierwsze z brzegu przykłady na ograniczoność pojęcia "niedostatecznych zasobów", które rzecz jasna w niektórych sytuacjach ma sens, ale rozciągnięte na całość życia społecznego

miewa katastrofalne skutki. Ekspansjonizm wolnego rynku nie jest etycznie i społecznie neutralny i bardzo sporną kwestią pozostaje, kiedy i czy w ogóle jego "bilans etyczny" jest pozytywny (dla neoliberalizmu: zawsze i wszędzie).

Kilkakrotnie, Tomku, powtarzałeś, że to co robią odmieńczy działacze (pro)palestyńscy albo inni działacze angażujący się w walkę z różnymi rodzajami opresji, to już nie jest kłir i po co w ogóle tak to nazywać. Z mojej perspektywy to, co piszesz we wstępie, jest właśnie przyznaniem się do kompletnego fiaska projektu kłirowego. Sam to dość otwarcie przyznajesz: "Osiągnięcie tych celów będzie w końcu zwycięstwem polityki tożsamościowej". Skoro tak, i skoro o to właśnie chodzi, i skoro każde inne myślenie jest utopistyczną mrzonką, to queer nie był/nie jest niczym więcej, jak jakąś intelektualną bańką mydlaną, która w końcu musi pęknąć, żebyśmy powrócili do twardej rzeczywistości i do "business as usual". No bo - skoro już mówimy o specyfice kłiru i groźbie jej utraty - co w Twoim ujęciu odróżnia queer od LGBT? Nic takiego nie dostrzegam. Ten termin, jeśli nie staje się kompletnie redundantny, to jest w najlepszym razie stuprocentowym, nowomodnym synonimem LGBT. Jeśli tak nie uważasz, to wyprowadź mnie proszę z błędu.

Na pewno różnimy się co do oceny "wymogu chwili" czy, pompatyczniej mówiąc, "głosu Historii" (czyli słynnego leninowskiego pytania). Tu możemy się kłócić do woli: czy w obecnym momencie historycznym lepiej np. poprzeć homomałżeństwa, czy może niekoniecznie. Tutaj można mówić o kalkulacjach (chociaż oczywiście ja będę kalkulował inaczej niż Ty). Ale zasadnicza różnica między nami jest taka, że Ty w ogóle nie wyobrażasz sobie polityczności (w tym polityczności queer) innej niż zastana, czyli poza ramami (neo)liberalizmu. Nie jestem Marksem i nie mam jakiejś wielkiej systemowej teorii zmiany, ale zarówno kapitalizm w ogóle, jak i jego neoliberalne wcielenie, są dla mnie tylko historycznie wyprodukowanymi systemami: tak jak powstały, tak miną, zwłaszcza że kapitalizm jest wewnętrznie sprzeczny i nie da się bez końca utrzymać. W jaki sposób miną - nikt nie wie; w wersji katastroficznej - po prostu potrujemy się wszyscy jakimiś przemysłowymi odpadami albo coś w tym rodzaju.

TB : Nie zgadzamy się (albo nie rozumiemy) w jednej kluczowej kwestii. Moim zdaniem queer ma sens wyłącznie jako przeciwwaga do polityki tożsamościowej, albo takiej tradycyjnej (liberalnej?) polityki, w której rozdziela się przywileje. Bez tej drugiej strony queer sam z siebie po prostu nie ma sensu, ponieważ nie domaga się niczego konkretnego. To jest jej cechą wyróżniającą jako odmiany polityki. (Queer nie chce domagać się konkretów po to, żeby nie wykluczać.) Jest nadmiarem tradycyjnej polityki, który

przeciwko niej się zwraca - jest po prostu krytycznym nadmiarem LGBT. Podobnie jest z Innym (Derrida, Levinas) i partykularnym innym. Jeśli będziemy myśleć Innego w oderwaniu od innego, to będziemy myśleć sami o sobie po prostu. Jedyny sposób, żeby myśleć o Innym, to żeby jednocześnie myśleć o innym.

Kiedy piszę o tym, że zasób praw jest ograniczony, to mam na myśli prawa w sensie rights, czyli przywileje. Dlatego porównanie praw do idei mnie nie przekonuje. Prawa jako przywileje zawsze przynależą komuś i są jakoś ograniczone. Tak jest nawet z prawem do dążenia do szczęścia (w konstytucji amerykańskiej) i z powszechnymi prawami człowieka, które obowiązują (przynajmniej formalnie) w tych państwach, które podpisały deklarację ONZ w tej sprawie, a nie powszechnie.
Prawa, żeby mogły mieć praktyczne znaczenie, muszą być gwarantowane przez suwerena, czyli przez państwo, które w tym celu posługuje się przemocą (wbrew stwierdzeniu Butler, że ona nie popiera przemocy stosowanej przez państwo - ale zapewne nie chodzi jej o każdy rodzaj przemocy). Pisał o tym Derrida w słynnym eseju o Benjaminie pt. "The Force of Law" w *Cardozza Law Review* , że fundamentem ładu prawnego jest przemoc, i że ta przemoc musi pozostawać ukryta, żeby był ład, a nie przemoc. (Podobnie jak u Lacana porządek symboliczny zasadza się na przemocy.) Np. prawo do dachu nad głową wymaga czasem interwencji policji. Na to nie ma jakiejś dobrej rady, i oczywiście można mieć ideę anarchistyczną, że tak być nie musi, albo że lud, albo jakieś anarchistyczne bojówki, tę przemoc zaaplikują zamiast państwa, ale ktoś musi być tym suwerenem i w razie czego użyć pałki, albo przynajmniej musi istnieć taka instancja, która to uczyni. Jasne, że są inne koncepcje porządku/gospodarki, nie oparte na niedoborze, np. ekonomia nadmiaru Bataille'a (z "Przeklętej części"). Ale u Bataille'a człowiek ma wybór taki, że aby zachować godność, powinien poświęcić dobrobyt, a nawet życie. Nie twierdzę, że to jest absurd, tylko że takie myślenie ma sens wyłącznie w odniesieniu do gospodarki niedoboru, w jakiej w praktycznym wymiarze przeważnie się znajdujemy (poza jakimiś momentami karniwalizacji), jako punkt, z którego możemy ten nasz zwykły porządek zobaczyć. I wtedy możemy coś w nim zmienić, co wcale nie oznacza jednak odejścia od gospodarki niedoboru. (Tak, kapitalizm wytwarza i nadmiar, i niedobór. Co nie znaczy, że przedtem ich nie było.) Bardzo możliwe, że "Jerusalem Post" i niemieccy Żydzi są przewrażliwieni na punkcie antysemityzmu, i trudno mi ocenić, czy Butler symbolicznie popiera Hezbollah, wykładając w Birzeit University. Zastanawia mnie natomiast od kilku lat jej odmowa przyjęcia nagrody w Berlinie na Christopher Street Day. Z jednej strony wszyscy queerowcy byli za, ale z drugiej do dzisiaj nie wiem, na czym miał polegać rasizm takich organizacji, jak Man-o-Meter. Jeśli dobrze się wywiedziałem, to zbierali

informacje o tym, kto zaatakował lesbijki i gejów na ulicach, np. przed klubami. I chodziło o to, że zbierali informacje o pochodzeniu napastników. Ale czy to jest rzeczywiście coś złego? I czy Butler jest zwolenniczką cenzurowania informacji, która nie odpowiada jej politycznej wizji (na to wygląda...).

Od paru dni w niemieckich mediach huczy po napaści na rabina w Berlinie. Jacyś ludzie mówiący po arabsku pobili go tak, że jest w szpitalu, bo szedł ulicą w jarmułce. Zrobili to na oczach jego małej córeczki, której grozili śmiercią. No i też są komentarze (na forum), że nie można przesądzać, co to za napastnicy i w ogóle lepiej o nich nie pisać, bo to psuje dialog (Rabbiner in Berlin attackiert). Mnie się jednak wydaje, że trzeba mówić o tym, kto i dlaczego dokonuje napaści, i że to nie musi być jednoznaczne z szerzeniem nienawiści. Postawa odwrotna jest oczywiście wyrazem pewnego sprzeciwu wobec zbyt łatwego przypisywania winy całej grupie, i w tym sensie jest zajęciem politycznego stanowiska. Mnie to stanowisko wydaje się zbyt jednostronne, ale ono ma swój sens jako krytyka odwrotnej tendencji, żeby tę grupową winę zbyt łatwo nazywać (tzn. obwinić Arabów, a czasem Turków). Tak czy inaczej, z queer i polityką tożsamościową jest podobnie. Poszczególne zdobycze prawne są wypełnieniem celów polityki tożsamościowej, a queer je krytykuje jako zbyt ograniczone. Queer zużyje się, jeśli w którymś momencie utknie, okopie się w sposób fundamentalityczny (np. przeciw małżeństwom gej-les), nie dostrzegając, że polityka tożsamościowa, którą zresztą krytyka queer na pewno częściowo napędza jako jej krytyczny nadmiar, coś istotnego w świecie zmieniła, wprowadzając jakieś rozwiązania prawne.

Na marginesie, to ciekawe, co piszesz, Tomaszku, o małżeństwach w Izraelu. Oczywiście tu znów widać, jak wiele zależy od konkretu (czyli chyba od TINA?). Bo czy w takim razie powiedziałbyś, że zniesienie małżeństw cywilnych na rzecz tylko kościelnych w Polsce przybliżyłoby nas do kłirowych ideałów? Chyba tylko pod warunkiem, że jakiś kościół (może kościół Szymona Niemca?) udzielałby małżeństw parom jednopłciowym, albo grupom powyżej 2 osób? (Tak jak ostatnio pewna notariuszka w Brazylii.) I już ostatnia rzecz: ja wcale nie bronię aktywistom na Bliskim Wschodzie nazywać się kłirowcami, tylko pytam, co oni przez to rozumieją. Przecież to jest dokładnie to samo, o co Ty mnie, Tomaszku, pytasz - czym się różni kłir od LGBT? I ja Ci odpowiadam, co o tym myślę. A ja ich pytam - czym się różni kłir od wyzwolenia Palestyny. Dla mnie ten związek pozostaje niejasny.

Polecam lekturę forum pod odpowiedzią Butler w "Mondoweiss". Mniej więcej w połowie jest trochę głosów o tym, co ona ma na myśli, powołując się na tradycję żydowską. Ludzie piszą między innymi,

że w rzeczywistości nic konkretnego - że ona mówi o pewnych ogólnych zasadach etycznych, którymi niektórzy żydowscy filozofowie też się zajmowali. Mnie się wydaje (o czym na forum jest mowa), że ona kładzie tak duży nacisk na żydowskość dlatego, że (1) broni się przed zarzutem (uwewnętrznionego) antysemityzmu; (2) krytykuje przekonanie Izraela (albo raczej współczesnych Syjonistów), że są ucieleśnieniem żydowskości; (3) ustawia własną pozycję jako podmiotu mówiącego, tj. stara się uzasadnić własne prawo do tego, żeby mówić o żydowskości, i własny interes w kwestiach z tym związanych. O tym ostatnim jest na forum najmniej, bo ono całe jest żydowskie, ale z punktu widzenia publicznej wypowiedzi Butler ma to duże znaczenie. Ta specyficzność usytuowania mówiącego podmiotu wydaje mi się niezwykle cenna, a jej zanikanie wydaje mi się prowadzić do fundamentalistycznego skostnienia. Ja właśnie tego się obawiam w scenariuszu, w którym queer pokrywa się z szeroko rozumianą radykalną lewicą - że oto zaczniemy mieć zbiór prawd etyczno-politycznych, które będziemy głosić i wyznawać, mimo że do końca ich nie znamy i nie rozumiemy. Myślę, że Butler ten problem dobrze czuje, chociaż nie jestem przekonany, że zawsze z nim sobie radzi. Dam dwa przykłady spoza queer: jakiś czas temu była akcja zbierania podpisów pod żądaniem, żeby przykładnie ukarać obywatela, który okrutnie zamęczył psa. Nie popieram męczenia psów. Ale podpisy zbierali ludzie jadający mięso, czyli przeważnie ludzie, którzy jadają np. hodowane przemysłowo kury. Mnie samego w tej sprawie zaczepiła na ulicy dama w futrze. Nie mam nic przeciwko futrom, więc nie podpisałem. Przy innej, późniejszej okazji, pewna publicystka przekonywała mnie, żeby nie głosować na Komorowskiego, bo jest myśliwym - a mówiąc to, jadła kotleta! Wyobrażacie sobie? Było to w restauracji, więc sama nie upolowała tej zwierzyny, tylko pozwoliła, żeby ktoś za nią zabił, a następnie, kiedy już podjadła, posilona martwym zwierzęciem, wystąpiła z hukiem przeciwko zabijaniu zwierząt! Ja właśnie czegoś takiego obawiam się z tym rozszerzaniem queer.

TS : Nie jestem przekonany, czy teoria queer jest dojrzała "do tego stopnia, że nie wyobraża sobie, że gdzieś ktoś inny mógłby mieć trochę racji". Choćby dlatego, że nie widzę (chyba na szczęście) JEDNEJ teorii queer. Natomiast każdy dyskurs, broniąc się, stara się wykazać błędność innego dyskursu. Jeśli dla mnie kłir jest niemal "organicznie" związany z antyliberalizmem, to za każdym razem będę próbował zbić argumenty oparte na liberalnych dogmatach, z którymi rzeczywiście się nie zgadzam. Napisałem zresztą kiedyś, że - jakkolwiek bez wielkiego entuzjazmu - popieram związki, chociaż z powodów innych, niż te najczęściej przytaczane. A jeśli już toczy się o nie batalia, to kłir jako krytyczny nadmiar (tutaj częściowo się zgadzamy!) powinien zadawać takie pytania, które zwykle w przestrzeni publicznej nie padają. Nie jest

moją ambicją "gryźć innych po kostkach". Jest ruch na rzecz związków, są akcje, jest lobbying - i dobrze; ja się zawsze cieszę, jak jest mobilizacja i ruch w interesie, a nie zastój.

Wracając jednak do "krytycznego nadmiaru" - to dla mnie nie jest równoznaczne ze stwierdzeniem, że kłir "nie domaga się niczego konkretnego". Nie domaga się niczego konkretnego raz na zawsze, ale może domagać się konkretnych rzeczy w określonej sytuacji. Przecież tak było od początku queerowego aktywizmu: reagowanie na konkretne sytuacje. Podobnie argumentowaliśmy z Rafałem Majką w tekście o aliansie kłiru z (antyliberalną) lewicą. Więc choć sam w tekście, który Wam kiedyś przesłałem, dowodziłem, że queer jest bliżej potencjalności, chory etc., to jednocześnie wcale nie pisałem, że nie może formułować "pozytywnych" postulatów. Jednym z nich może być również - proszę bardzo - odpowiednio uargumentowany postulat związków. Jeśli w pewnym historycznym momencie następuje hegemonizacja pewnego typu polityczności (neoliberalnej), która kastruje inne sposoby uprawiania i rozumienia polityczności, w tym również inne sposoby uprawiania i rozumienia płci i seksualności, to nie widzę przeszkód, żeby kłir związał się z ruchami, które tę hegemonię usiłują podważyć. Kłir jako "krytyczny nadmiar" w takim sensie, w jakim o nim piszesz, Tomku, wydaje mi się w ostatecznym rozrachunku kompletnie jałowy. Jest "radosną kontestacją" - może tylko krytykować prawa jako zbyt ograniczone, ale tylko polityka tożsamościowa prowadzi do realnych zmian. To jest skazywanie kłiru na kompletną polityczną niemoc, to już lepiej dajmy sobie spokój z tym przeintelektualizowanym krytykanctwem! A jeśli jest inaczej, jeśli - że użyję Twoich słów - kłir "zwraca się przeciwko tradycyjnej polityce" - to przecież nie po to, żeby ostatecznie parametry tej tradycyjnej polityki poprzeć, tylko po to, żeby szukać alternatywnych parametrów.

Mnie się tak naprawdę bardzo podoba, Tomku, że trzymasz się konkretnych przypadków przemocy ze względu na płeć, seksualność czy etniczność (tak jak w ostatnim przykładzie). Kwestia przemocy, moim zdaniem, nieco wyjaśnia, dlaczego (przynajmniej niektórzy) palestyńscy odmieńcy uznają walkę z okupacją za sprawę kłiru. Bo to właśnie przemoc (także przemoc zawarta implicite w prawie) jest w ogromnej mierze tym, co nas poddaje reifikacji, a walka z reifikacja (i przemocą) jest przecież bardzo kłirowa. Gradacja przemocy nie jest zbyt fortunnym zabiegiem, ale można domniemywać, że przemoc ze strony państwa Izrael jest nieporównywalnie większa od przemocy społeczeństwa palestyńskiego wobec odmieńców (pewna propalestyńska dziennikarka mówiła mi kiedyś, że społeczeństwo palestyńskie jest daleko mniej patriarchalne niż polskie). Jest to

przemoc poparta autorytetem państwa; nie tylko przemoc symboliczna, ale także fizyczna, łącznie z utratą życia. Ta reifikacja Palestyńczyków jako populacji ma, wedle Puar, także kłirowy wymiar: po zachodniej, "cywilizowanej" stronie są indywidualne osoby, geje i lesbijki, które mogą cieszyć się swoimi prawami, a po drugiej, muzułmańskiej stronie jest "skłirowana" populacja Palestyńczyków (skłirowana w takim sensie, w jakim dyskursy kolonialne przez wieki feminizowały "innych").

Wiem, oczywiście, co masz na myśli, kiedy piszesz o prawach w sensie angielskich "rights" i o tym, że są zawsze jakoś ograniczone. We wstępie napisałeś więcej: "Czy możliwa do wyobrażenia jest taka (utopijna) sytuacja, w której polityka nie opiera się na zabiegach o dostęp do ograniczonych zasobów?" No więc ja na to właśnie odpowiadam: możliwa. Redukowanie polityki do "zabiegów o dostęp do ograniczonych zasobów" jest zgodne z neoliberalnym dogmatem - i zupełnie niezgodne z moim rozumieniem polityczności. Na szybko i chaotycznie rzuciłem kilka przykładów przeczących temu dogmatowi.

Wspomniałem np. o idei "cnót obywatelskich" - jednej z najbardziej klasycznych politycznych idei - które ulegają erozji poddane reżimowi neoliberalizmu. Nie chcę powtarzać tych samych argumentów (specjalnie NIE WSPOMNIAŁEM Bataille'a, do którego zdajesz się sprowadzać krytykę dogmatu o pierwotnym, konstytutywnym niedoborze.) To wszystko prawda, co piszesz o prawach i o suwerenności państwowej itd. - oczywiście w ramach nowoczesnego paradygmatu politycznego (który zresztą mocno kuleje wskutek rozpasania neoliberalnej gospodarki wolnorynkowej i wielkiego kapitału, a także powszechności polityki "stanu wyjątkowego"). I ja wcale nie mówię, że w nocy z dzisiaj na jutro mamy zapomnieć o całym dyskursie praw albo się ich po prostu zrzec (np. zrzekając się obywatelstwa). To są oczywiście realne narzędzia działania. Ale to nie znaczy, że nie należy szukać również innych narzędzi.

Dość wymowne, wręcz nieco surrealistyczne, wydało mi się, że używasz takiego przykładu: "Np. prawo do dachu nad głową wymaga czasem interwencji policji". Piszesz to w czasach, kiedy policyjna pałka jest setki razy częściej używana do ewikcji, a nie do zapewnienia dachu nad głową. A w Izraelu suweren pozbawia domów 17 tysięcy ludzi. Pytasz: "Czy w takim razie powiedziałbyś, że zniesienie małżeństw cywilnych na rzecz tylko kościelnych w Polsce przybliżyłoby nas do kłirowych ideałów?" Być może. Rzucam pomysł; na razie tylko w dyskusji jako przykład na to, że można zupełnie inaczej koncypować cele i strategie, niekoniecznie podług "historycznie nieuniknionych" wzorców rodem głównie z USA. Nie mam prawa mówić w imieniu

palestyńskich aktywistów, ale chyba przeinaczasz ich intencje. Oni nie mówią, jak rozumiem, że kłirowość jest tożsama z walką z okupacją. Mówią, że tu (tam) i teraz walka z okupacją jest TAKŻE kłirową kwestią; na dzień dzisiejszy być może najbardziej palącą. Przesłałem Ci przykład ich argumentacji - ale oczywiście szanuję to, że ten związek pozostaje dla Ciebie niejasny.

OK, rozumiem już, czego się obawiasz, Tomku. I rozumiem, dlaczego inwestujesz w LGBT i reifikację, która się z LGBT łączy: to jest dla Ciebie stałe miejsce, z którego chcesz artykułować pewne moralne sądy o świecie czy pewne postulaty polityczne. To jest punkt oparcia, bez którego nie wyobrażasz sobie politycznej sprawczości czy etycznej wiarygodności.

Ja staram się uprawiać politykę (i myślenie) nie-miejsca, nie-terytorializmu. Ale nie wydaje mi się, żeby taka polityka nie pozwalała artykułować - być może bardziej przygodnie - bardzo określonych sądów. Jeśli już mowa o "okopywaniu się" na określonych pozycjach, to taka groźba w o wiele większym stopniu dotyczy właśnie polityki reifikacji / miejsca, niż polityki (no niech już będzie to słowo) "nomadycznej". A jeśli już potrzebna jest nam jakaś etyczna orientacja (w przeciwieństwie do orientacji seksualnej, której wcale nie potrzebujemy), jakaś Mekka, to jest nią - w moim odczuciu - wspomniana wcześniej "wierność Wydarzeniu". Ta kategoria nie żąda od nas stabilizacji i reifikacji naszej pozycji, pozycji podmiotu; ale jednocześnie pozwala tworzyć sprawcze zbiorowości polityczne. W uproszczeniu powiedziałbym, że to jest różnica między "duchem" a "literą" (choć ta analogia jest dalece niedoskonała). Litera to zalegalizowana tożsamość, "przepustka" (np. do praw i przywilejów); "duch" to orientacja na moment kontestacji zastanego porządku, moment odmowy współpracy z niesprawiedliwym i szkodliwym systemem, moment samoorganizacji i realnej, oddolnej zmiany. Mnie taka specyficzna pozycja wystarcza. I co ważne, nigdy nie mówiłem o utożsamieniu kłiru z radykalną lewicowością; zawsze mówiłem o koalicji i "wzajemnej nauce", a to istotne rozróżnienie.

TB : Moim zdaniem, jeśli kłir ustala jakieś pozytywne cele, to już nie jest kłir, tylko polityką tożsamościową. Np. jeśli Palestyńczycy wywalczą samostanowienie, to kłirowe pytanie może brzmieć: czy wpuszczą do Palestyny Egipcjan? Jeśli nie, to mamy do czynienia z polityką tożsamościową, która jest rozpoznawalna (definiowalna) przez wykluczenie. Oczywiście, że to jest rozróżnienie trochę idealne, bo w praktyce każda bariera przepuszcza. Ale to nie znaczy, że kłir jest tylko jakimś lekkoduchostwem. Jest potrzebne jako ten krytyczny nadmiar, mniej więcej tak samo jak poststrukturalizm jest potrzebny, chociaż nie postuluje pozytywnych treści - i tylko o tyle ma sens, o ile tego nie

robi. Kłir zresztą jest potstrukturalistyczny, to chyba widać po sposobie argumentacji.

A co do przemocy: czy naprawdę wziąłbyś kredyt na mieszkanie, gdybyś nie spodziewał się, że państwo zagwarantuje Twoje prawo własności? Ja bym nie wziął. Pewnie, że władza jest nadużywana, także przez policję. Ale ogromna większość ludzi przez ogromną większość czasu, w krajach nie ogarniętych wojną, żyje w cieniu tej obietnicy przemocy, jaką im składa państwo. Może to smutne, ale na tym bazujemy. I na szczęście, przeważnie ta przemoc jest niepotrzebna. Ale jej obietnica jest konieczna. To nie znaczy, że ona wszystko determinuje, że nie może być relacji między ludźmi innych, niż oparta na prawie, ale to jest konieczny element tej samoorganizacji, którą uprawiamy, niczym mrówki jakieś. Zresztą przemoc nie jest tylko domeną państwa, ale także rodziny i różnych nieformalnych grup.

TS : Jeśli jest jeszcze jedna rzecz, która jakoś mi się w głowie nie mieści (moja wyobraźnia też jest ograniczona! ;)), to jest to logika, która stawianie pewnych (strategicznych) celów i (strategiczne) koalicje z pewnymi wizjami politycznymi zrównuje automatycznie z polityką tożsamościową. W jaki sposób np. konkretne żądanie zwiększenia nadzoru nad firmami farmaceutycznymi we wczesnych latach epidemii AIDS przekłada(ło) się na politykę tożsamościową? Oczywiście można się spierać, czy akurat ten element wchodzi(ł) w zakres kłiru. Ba, można rozdzielać aktywizm kłirowy od kłirowego, poststrukturalistycznego akademizmu, przyczyniając się do dalszej depolityzacji kłiru.

Rozumiem, że poststrukturalizm często jest politycznie ambiwalentny, ale przecież nie neutralny (już nie chcę wchodzić w szczegóły); zresztą ze "złotego wieku" poststrukturalizmu już wyszliśmy i ważnym zadaniem na dziś jest, bez wylewania dziecka (poststrukturalistycznych narzędzi analitycznych) z kąpielą i (niemożliwego) powrotu do "klasycznej", zasadniczo oświeceniowo rozumianej polityki, wypracowywać konkretne narzędzia zmiany społecznej i nowe formy polityczności. Stare się zużyły (albo przynajmniej zużywają) - nie mam co do tego wątpliwości, patrząc na to, co dzieje się na świecie, głównie w zachodnich demokracjach. Jeśli w praktyce rolą kłiru miałoby być wyłącznie analizowanie przedstawianych przez "poważne" i liczące się siły / podmioty polityczne projektów pod kątem tego, kogo wykluczają - to dla mnie jest, powtórzę, skazywanie kłiru na kompletną impotencję. Kłir nie może być po prostu reaktywny, musi być również proaktywny!

I jeszcze tylko taki malutki, malutki dodatek do kwestii państwa, przemocy, kredytu itp. Piszesz, Tomku, co obiecuje państwo

(pewną stabilność, bezpieczeństwo, zapewnienie podstawowych potrzeb - przynajmniej w modelu państwa opiekuńczego). A ja mówię, że ta obietnica - w obecnej sytuacji gospodarczo-politycznej - po prostu kompletnie zawodzi. Zamiast stabilności jest prekaryzacja, zamiast bezpieczeństwa finansowego - kolosalny kryzys, zamiast prawa do mieszkania - coraz więcej ewikcji i wysiedleń, zamiast ochrony praw obywatelskich - usprawiedliwiający wszystko "stan wyjątkowy". Obecne systemy polityczne sobie z tym ewidentnie nie radzą. Bankrutujące państwa, mechanizmy polityczne, które w odczuciu milionów ludzi kompletnie ich nie reprezentują - to nie są, ot, takie tam przejściowe kłopociki, tylko symptomy bardzo głębokiego kryzysu systemowego. Udawanie, że to się nie dzieje i uprawianie "business as usual" jest w najlepszym razie szalenie krótkowzroczne, a w najgorszym - jest przejawem "złej wiary".

TB : Wyjeżdżam na Mazury na ślub, którego ma nie być, i właśnie sznuruję obuwie, ale na szybko - ja zasadniczo mówię jednak o teorii queer (jakkolwiek "zaangażowanej"), a nie o różnych ruchach kłirowych, kiedy porównuję do poststrukturalizmu. Moim zdaniem część tych ruchów (m. in. w Polsce), niespecjalnie różni się np. od LGBT. (I w tym sensie Leszkowicz ma trochę racji, że to mówienie kłir to rodzaj szafy). Ale to dobry przykład z ACT UP-em, zastanowię się po drodze.